

Dziś w numerze:

- Pierwsza relacja naszego wysłannika do Australii red. Henryka Zawiry
- Ze świata i o świecie
- 2,5 tys. km walki z Saharą
- Gdzie jest „Złota Kareta”?
- Grypa pod mikroskopem
- Fotoreportaż, felietony, informacje

Rozmawiamy z prof. dr S. Pieniążkiem

— Reprezentuje pan profesor gałąź wiedzy, o której sceptycy zwykli mówić, że trudno w niej już cokolwiek dokonać... Czy rzeczywiście sadownictwo nie ma żadnych tajemnic?
— Zanim odpowiem panu na pytanie, może wspomnę taką historyjkę. Otóż będąc kiedyś w Kostarice, zetknąłem się z owocem mającym w nauce afrykańskim nazwę syn-se-pal tu zaś zwanym „cudowny”. Mały, czerwony o dużej pestce, otoczony nikłym mięszem, wodnisty. Gdzie w nim ta cudowność? Co się okazało: oto po zjedzeniu tego owocu jeszcze przez kilka godzin każda rzecz, którą się po nim spożywało wydawała się wspaniała w smaku. Nawet najgorsze paskudztwo. Uczni zbadali skład tajemniczego owocu i wykryli zawartą w nim glukoproteinę (nazwaną ją miraculiną), która zmienia reakcję gruczołów smakowych. Jeśli kiedyś uda się wytworzyć miraculinę w sposób przemysłowy, to pan sobie może wyobrazić, jakie rozkosze podniebienia będziemy przeżywać w stołówkach i jadłodaj-

niach. Czyli, jak widzi pan, wbrew opinii sceptyków sadownictwo nie jest jeszcze obszarem w pełni odkrytym i poznany. Ale wracamy na nasz rodzimy teren. Czy wszystko już wiemy np. o jabłoniach? Albo jeszcze inne pytanie — Ile owoców przeciętnie produkujemy w Polsce za hektara? Jeżeli mamy około 250 tys. ha sadow i jeśli roczna produkcja wynosi około 1,5 mln ton owoców, to znaczy, że na 1 ha przypada 6 ton. A ile można z hektara uzyskać? Ile inni uzyskują? Jakże są światowe rekordy? Ja osobiście sam widziałem w Nowej Zelandii i Tasmanii sady, które dawały po 150 ton z ha tzn. 1500 kwintali. Jakże kolosalne możliwości...
— I to byłoby zagadnienie, na którym polskie sadownictwo skupia swą uwagę...
— Tak jest. Nauka sadownicza stara się opracować systemy produkcji, które będą szły właśnie w tym kierunku.
— Ale to są, panie profesorze, poszukiwania ilościowe, natomiast co z ja-

kością? Czy nauka pracuje nad uzyskaniem coraz to nowych odmian smakowych?
— Nam, jak na razie chodzi przede wszystkim o ilość, bo przecież owoców mamy ciągle zbyt mało. Tymczasem specjalisci od racjonalnego żywienia wyliczyli, że każdy człowiek powinien zjadać co najmniej 76 kg owoców rocznie. Ponieważ my nie zjadamy nawet 50 kg więc rozumiałe, że za wszelką cenę dążymy do osiągnięcia ilościowych. Ale już i to zachęca trochę o jakości. Bo przecież owoce mamy spożywać nie w ciągu jednego miesiąca, ale przez cały rok. I tu otwiera się pole do badań nad sposobami przechowywania owoców, zwłaszcza jabłek, aby nie tracąc nic ze swych wartości były one do dyspozycji zimą, a także wiosną. Na ogół wiemy, że artykuły żywnościowe powinny się przechowywać w chłodzie. Podobne wymagania mają i jabłka. Ale w przypadku owoców niska temperatura to jeszcze nie wszystko. Owoce są żywy-

(Dalszy ciąg na str. 7)

Nowy rozdział w historii narodu wietnamskiego

Nakład 270.000 egz.

PANORAMA - PANORAMA



Łódź, niedziela i poniedziałek
28 i 29 stycznia 1973 r.
Rok XXIX Nr 24 (7615)

DZIENNIK ŁÓDZKI

10 stron
Cena 1 zł
Wyd. A

Nazywali go „Zośka”



Foto - A. Wach



Na zdjęciu: uroczystość podpisania porozumienia o przywróceniu pokoju w Wietnamie. Dokument podpisuje min. spraw zagranicznych DRW Nguyen Duy Trinh (z prawej).
CAF - AP - telefoto

W przygotowaniu

Korzystniejsze przepisy o zatrudnieniu emerytów

Obecne przepisy o zawieszalności prawa do emerytur i rent są od dawna przedmiotem krytyki społecznej, wywołują również niekorzystne skutki ekonomiczne.
Te właśnie względy zdecydowały o przystąpieniu Min. Pracy, Płac i Spraw Socjalnych do prac nad weryfikacją przepisów. Projektuje się uelastycznienie zasady zawieszania emerytur i rent w różnych ośrodkach kraju, w zależności od bieżącej i przyszłej sytuacji na rynku pracy. Zmiany w przepisach po-

winny dopuszczać możliwość uzyskiwania wyższych zarobków przez wysłużonych pracowników o wysokich kwalifikacjach i zbliżyć te zarobki do poziomu osiąganego przed przejściem na emeryturę lub rentę. Należy oczekiwać, że w pierwszej kolejności będzie zmieniony życiowy przepis, powodujący utratę całej emerytury lub renty, w przypadku przekroczenia górnej granicy dopuszczalnych zarobków nawet o niewielką kwotę.

„Związek Harcerstwa Polskiego, Chorągiew Łódzka im. Bohaterskich Dzieci Łódzkich, Hutiec „Frontenistych”, Szczęp im. hm. Tadeusza Zawadzkiego „Zośki”, 22 LDH im. hm. Jana Bytnara „Rudego”, 23 LDH im. p.hm. Aleksandra Dawidowskiego „Alka”... zorganizowały wczoraj w siedzibie szczeput, w Technikum Drogowo-Geodezyjnym przy ul. Liściastej uroczystą zbiórkę szczeput w związku z 70 urodzinnymi prof. Aleksandra Kamińskiego — „druha Kamiyka”.

Jubilat otrzymał wraz z najłepszymi życzeniami bardzo wiele kwiatów, całusów, uścisków, piosenek (niektóre sam napisał dla żuchów). Przybyli licznie jego wychowankowie, byli żołnierze legendarnych batalionów harcerskich „Zośka” i „Parasol”. Przybyły także rodziny harcerskich bohaterów: matka „Jeremiego” — Jerzego, Anna Zborowska, siostra „Zośki” — prof. Anna Zawadzka, siostra „Alka” — Maria Strzęboszowa-Dawidowska.

Przybył także przedstawiciel władz baluckiej dzielnicy. Prof. Kamiński przekazał komendantowi szczeput, a jednocześnie dyrektorowi Technikum im. Arkusza Grabcickiego sztandar harcerski ufundowany ze środków wypracowanych przez młodzież. Hm. Grabcicki wręczył go harcerskiemu pocztowi sztandarowemu szczeput.

Wyblakły fotografie, wspomnienia dziś już ludzi więcej niż w średnim wieku, zmonumentalizowały postacie tych chłopców, którzy ledwie zaczęli wówczas wchodzić w życie. Zgrana paka, wesoła, pełna fantazji; kumple — jak powiadamy dziś — koledzy, jak mawiano wtedy, w latach czterdziestych. Kto tam z nich wtedy myślał, że przejdzie do historii, że jego nazwiskiem, czy pseudonimem nazywać będą ulice, że przyjdzie mu patronować szkołom albo drużynom harcerskim?!

Panorama tygodnia ★ Panorama tygodnia

W momencie, gdy pisać te słowa, trwa, używając określenia Kissingera, „pokrętna ceremonia” podpisania porozumienia osiągniętego w sprawie Wietnamu. Przed południem ministrowie USA i Wietnamu południowego złożyli swe podpisy na jednej karcie dokumentu, zaś przedstawiciele DRW i TRRRWP na innej. Po południu natomiast doszło do drugiej ceremonii z udziałem już tylko ministrów USA i DRW, z tym, że podpisują oni jeszcze protokoły dodatkowe dotyczące m. in. rozmówienia portów i wód terytorialnych DRW.

Nikt oczywiście nie przywiązuje większej wagi do formy — wszyscy nie ukrywają radości z osiągniętego porozumienia, wszędzie, a najbardziej w Wietnamie, w uśmiechniętym Hanoi i Hajfongu odczuwa się odprężenie. Oto jak opisuje atmosferę w stolicy DRW korespondent PAP Rymaszewski:

Przy pierwszych doniesieniach ruch zamarił niemal w całym mieście. Przechodnie zbierali się przy głosińkach. Wielu miało łzy w oczach. Ci z białymi opaskami żałobnymi wspominali bliskich, którzy nie mogą usłyszeć tej radosnej wieści. Dla Wietnamczyków pochodzących z południa zaświetla nadzieja, że jeszcze zobaczą swe rodzinne strony.

W czwarlek rano rozechwytny został cały nakład „Nhan Dan” zawierającego radosną wiadomość. Ukazał

się również w oświetlonej szacie „Quan Doi Nhan Dan”.

Pierwszą oznaką ożywienia jest rosnąca fala ludzi powracających z ewakuacji. Na drogach widzi się tłumy mieszkańców wracających ciężarówkami, wozami chłopskimi lub rowerami. Dla znacznej części przyjezdnych jest to pierwsze spotkanie z miastem po przeszło 9 miesiącach.

Dziś o północy miały zamknąć armaty i karabiny na południu, które rozbrzmiewały jeszcze w sobotę, gdy w Paryżu politycy kończyli formalnie swe dzieło. Zdawać by się więc mogło, że najtragiczniejszy rozdział powojennego świata, 12-letnia wojna została zakończona i można bez obaw i wątpliwości patrzeć w przyszłość. Nie chciałbym mieć pogodnego nastroju, ale wypada, gwoźdź dokładności wskazać na pewne sprawy. Niewątpliwie porozumienie jest zwycięstwem nieugiętego narodu wietnamskiego, niewątpliwie podpisanie porozumienia tylko w detalach różni się od wersji z 26 października 1972 r.

Jednakże najistotniejszy jest ciąg dalszy — czy jesteśmy świadkami budowania trwałego pokoju dla Indochin czy tylko rozejmu?

Jednoznaczna odpowiedź na to pytanie jest niemiernie trudna. Analizując tekst można mieć nadzieję, jeśli nie pewność, że plan pokojowych rozwiązań został przygotowany. W ciągu 30 dni, licząc od dzisiaj, ma się zebrać konferencja (najprawdopodob-

niej w Wiedniu), w której obok DRW i USA wezmą udział: ZSRR, Francja, ChRL, W. Brytania, Kanada, Polska, Indonezja, Węgry, przedstawiciele Wietnamu pld. (sil wyzwolenczych) oraz sekretarz generalny ONZ Kurt Waldheim. W trakcie tej konferencji powinno dojść do ustalenia, w myśl których, przy zachowaniu prawa do zjednoczenia Wietnamu, wypracuje się formy przeprowadzenia wyborów w Wietnamie południowym, by powołać do życia rząd rzeczywiście reprezentujący jego ludność.

Nie będzie to zadanie łatwe. Już dziś „prezydent” Thieu nie ukrywa swego niezadowolenia z powodu uznania Tymczasowego Rządu Rewolucyjnego Republiki Wietnamu Południowego, głośił wszem i wobec, że rada pojednania i zgody narodowej, w skład której wejść mają przedstawiciele reżimu sajońskiego, TRRRWP i neutralni politycy, nie może być rządem, lecz ma tylko przygotować wybory. Nawołuje on też do czujności, zapowiada „nieugiętość i wolę utrzymania władzy”.

Nie poprzestaje on tylko na pogroźkach — podjął on konkretne wysiłki w postaci m. in. „ustawy nr 60”, która jest tak skonstruowana, że daje jego partii sytuację uprzywilejowaną. Dlatego też jeden z polityków neutralnych (Tuyen) nazwał ją „beprawna i niezgodna z konstytucją”.

Obawy co do postawy Thieu polegającej na chęci utrzymania władzy za wszelką cenę, wyraża też wielu komentatorów, a jeden z nich zatytułował nawet swój artykuł „Nixon strzela, Thieu kule nosi”.

Wypada także zwrócić uwagę na dwa dalsze państwa Indochin — Laos i Kambodżę. Czy osiągnie się tam rozejm, a następnie znajdzie właściwą formułę polityczną dla tych państw? W Laosie rysują się możliwości osiągnięcia porozumienia, ale z Kambodżą sprawy wyglądają gorzej, gdyż Lon Nol ani myśli iść na jakiegokolwiek ustępstwa.

Koncentrowanie uwagi na sprawach fruntych w dniu tak radosnym może się wydać Czytelnikom niewłaściwe, może być uznane za czarno-widztwo, ale tak nie jest. Trzeba po prostu zdawać sobie sprawę, że kwestia wietnamska jest u początku drogi, że wiele jeszcze zostało do zrobienia, wiele problemów pozostało. Ktoś słusznie powiedział: „Wojna skończyła się dla USA, ale czy skończyła się dla Wietnamczyków?”

Polska, jako członek komisji kontrolującej rozejm, zrobi wszystko, aby Wietnamczycy mogli się długo cieszyć pokojem i cały swój wysiłek poświęcić na odbudowę straszliwie zniszczonego kraju. Rzecz w tym, by nikt im w tym nie przeszkodził.

HENRYK WALENDA

(Dalszy ciąg na str. 7)

Jak donoszą agencje prasowe, epidemia grypy grasuje w W. Brytanii i Francji. W Związku Radzieckim przystąpiono do szczepień ludności. Naukowcy opracowali nowe szczepionki, oparte na krzyżówkach żywych wirusów. Produkuje się je w ciągu kilku tygodni, zamiast – jak dotąd – miesięcy. Umożliwiają one obronę przed zmiennością wirusa grypy.



GRYPA POD MIKROSKOPEM

W listopadzie ub. roku w brytyjskim Ośrodku Badań Klinicznych w Harrow podjęto badania nad nowym typem szczepionki przeciwgrypowej. Badania te są godne uwagi z dwóch powodów. Po pierwsze, szczepionka – w odróżnieniu od większości istniejących dotychczas – oparta jest na żywych wirusach grypy a nie ich martwych cząstkach (szczepionkę na żywych wirusach stosuje się w ZSRR). Po drugie, zastosowano tu metody „inżynierii genetycznej”. Wykorzystano tu ten sam mechanizm, który powoduje szybkie rozprzestrzenianie się epidemii.

Pomysł pochodził od dr. Eda Kilbourne'a z nowojorskiego szpitala Mount Sinai. Wirusy „rodzicielskie” dobrał on tak, by jeden z nich (znana od roku 1934 odmiana P48) przekazywał łatwość hodowli w warunkach laboratoryjnych i przemysłowych, natomiast drugi – właśnie odmiana Hongkong – cechy antygenowe (decydujące o odporności, względnie podatności organizmu na dany wirus).

Nowy hybryd oznaczony X-31 tak dalece spełnia postulat lekarzy, że do dziś stosowany jest w W. Brytanii do produkcji szczepionki przeciwgrypowej. Metodę wykorzystano w roku ubiegłym ponownie. Odmianę P48 skrzyżowano z wirusem „angielskim” A (Anglia) 42/72. Produkt tej krzyżówki, oznaczony symbolem MRC2, użyto do nowej szczepionki, której wytwarzanie podjęto „na wszelki wypadek”.

Wirusy żywe zamiast martwych

Zastosowanie metody krzyżowania wirusów skraca czas przygotowania nowej szczepionki z kilku miesięcy do kilku tygodni. Istnieją jednak granice, których korzystając ze szczepionki opartej na martwych wirusach nie można przekroczyć. Skuteczna dawka musi być duża. W W. Brytanii dla wyprodukowania jednej dawki używa się jednego jaja kurzego, w Stanach Zjednoczonych – do czterech.

Skuteczne zabezpieczenie ludności wymaga zaś szczepienia przynajmniej wszystkich dzieci szkolnych, które najszybciej roznoszą epidemie, a w dodatku – wszystkich ludzi w podeszłym wieku oraz tych, którzy cierpią na schorzenia układu oddechowego. W praktyce liczba potrzebnych dawek może sięgać połowy liczby ludności danego kraju. Nie mówiąc o tym, skąd wziąć tyle jaj, same techniczne trudności wyprodukowania takiej ilości szczepionki i jej rozprowadzenia przesądzą o opóźnieniu akcji w stosunku do szybko rozprzestrzeniającej się epidemii.

Rozwiązaniem mogą być szczepionki z żywych wirusów. Można podawać je w dawce tysiącokrotnie mniejszej. Wstrzyknięte wirusy będą się same rozmnażały w organizmie. Wszystkie jednak szczepionki oparte na żywych wirusach czy bakteriach wymagają specjalnego przygotowania. Zazwyczaj muszą być na tyle aktywne, by rozmnażały się w stopniu wywołującym odporność organizmu, nie na tyle jednak, by powodowały jego chorobę.

Do czego przydaje się zimny nos?

Amerykański badacz z Narodowego Instytutu Alergii i Chorób Zakaźnych ze znanego ośrodka w Bethesda – Robert Chanock odkrył w połowie lat sześćdziesiątych, że najsukutekniejszą bronią przed grypą skupienie przeciwciał w drogach oddechowych. Najlepszym sposobem na pobudzenie takiej miejscowej odporności jest wywołanie – tam

właśnie – infekcji. Jak jednak zabezpieczyć organizm przed przekształceniem się infekcji leczącej w może nawet zabójczą?

Postanowił on wykorzystać... zimny nos. Zwykło się przyjmować go za oznakę zdrowia domowych ulubieńców – psów czy kotów. Okazuje się, że może on pomagać zachować zdrowie również ludziom.

Temperatura kanałów nosowych wynosi u ludzi 32–34 stopni Celsjusza, natomiast płuc – 37 stopni. Posługując się chemicznymi substancjami wywołującymi mutacje wirusów, wyhodowano taką ich odmianę, która rozwijała się w temperaturze panującej w przewodach nosowych, ginęła natomiast w temperaturze płuc.

Po kilku latach, gdy rozpowszechnił się pomysł szczepionek krzyżówkowych, ten sam R. Chanock skrzyżował wrażliwe na temperaturę wirusy grypy azjatyckiej z wirusami odmiany Hongkong. Z następnego pokolenia wybrano taką odmianę, która odznaczała się największą wrażliwością na temperaturę stosowaną (cecha warunkująca żywność i bezpieczeństwo stosowania), równocześnie miała cechy antygenowe (wywołujące odporność u ludzi) grypy Hongkong. Była ona stabilna genetycznie – nie przechodziła z typu łagodnego w ostry; nie powodowała też zarażenia współmieszkańców osób, z którymi dokonywano doświadczeń. Był on całkowicie odporny na grype Hongkong.

Łatwość przekazania wrażliwości na temperaturę oryginalnej odmiany „azjatyckiej” wirusów Hongkong i zapewnienie w ten sposób bezpieczeństwa stosowania uodporniającej nań szczepionki pozwala przypuszczać, że będzie można to samo uczynić wobec następnych odmian grypy.

Po drugiej stronie oceanu, w W. Brytanii pominięto uwarunkowanie wirusów na temperaturę. Udało się tam otrzymać odmianę łagodną, bezpośrednio z krzyżówki odmiany P48 i Hongkong. Przynosi ona – na etapie wstępnych doświadczeń z ludźmi – zachęcające wyniki. Nie wiadomo jednak jeszcze, czy jest stabilna genetycznie.

Badania podstawowe w dziedzinie biologii przynioszą przełom w rozumieniu zjawisk leżących u podstaw odporności organizmu. Właśnie za prace nad antygenami przyznano w ub. roku Nagrody Nobla. Dopóki jednak szybki postęp nauki i przemysłu farmaceutycznego nie przyniesie masowej i pewnej szczepionki przeciw grypie, przestrzegajmy konwencjonalnych wskazań lekarzy – ciepło ubierać się, unikać kontaktu z chorymi, nie lekceważyć pierwszych objawów.

Jak zresztą dowiadujemy się w Ministerstwie Zdrowia, szczepionkę antygrypową zaczęły produkować w Polsce krakowskie zakłady „Biomed”. Jesienią ub. roku zaszczepiono nią niektóre środowiska lekarzy oraz ochotników, którzy z uwagą na swój stan zdrowia mogliby ciężko przechorować grype. Pozostaje teraz czekać na atak grypy, by zobaczyć, na ile szczepionka jest skuteczna. Nie zaobserwowano dotychczas żadnych skutków ujemnych.

MARIUSZ KUKLIŃSKI

Chrońmy się przed katarzem



„BURSZTYNOWA KORNATA”! SŁYSZAŁ O NIEJ CAŁY ŚWIAT. WSPANIAŁE DZIEŁO SZTUKI WIELOMILIONOWEJ WARTOŚCI, ZAGRABIONE PRZEZ HITLEROWCÓW NA TERENIE ZSRR.

DZIEJE POSZUKIWAŃ „BURSZTYNOWEJ KORNATY”, CHOCIAŻ MOGA WYPEŁNIĆ JUŻ WIELE TOMÓW, CIĄGNA SIĘ DOPIERO OD OSTATNIEJ WOJNY. NATOMIAST AKCJA MAJĄCA NA CELU ODSZUKANIE „ZŁOTEJ KARETY” LICZY JUŻ SOBIE PONAD PÓLTORA WIEKU.

Gdy Francuzi opuszczali spaloną Moskwę, za carskim orszakiem posuwał się konwój paru karet, wyładowanych zrabowanymi skarbami. Droгоценne naczynia liturgiczne, stare ikony, wspaniałe dzieła sztuki, złoto, srebro, drogie kamienie, broń, futra... I właśnie tych kilka karet, których wnętrza wypełniały skarby niewiarygodnej wprost wartości, nazwano umownie „Złotą Karetą”.

Wszyscy interesujący się tą sprawą wiedzą jedno – „Złota Karetka” wyjechała z Moskwy i nie dotarła nigdy do celu. Zniknęła gdzieś na zaśmieconych, bezkresnych rosyjskich równinach.

Koło Wiazmy, przez którą cofał się na zachód Napoleon, leży jezioro Stojajez. Parę lat temu jeden z radzieckich historyków wysunął hipotezę że być może, właśnie w tym jeziorze na rozkaz Napoleona zatopiono „Złotą Karetę”!

Wkrótce nad Stojajezem pojawiły się liczne ekipy poszukiwawcze – pletwonurkowie, historycy, geolodzy, dzielnicy, karze, wojskowi ze specjalnym sprzętem, przedstawiciele władz itp. Jednak mimo poszukiwań, które ciągnęły się przez parę sezonów, nie ciekawego na dnie nie znaleziono.

Podobnych akcji podejmowano w ZSRR już wiele. Penetrowano najróżniejsze miejsca, które mogły służyć za ukrycie napoleońskiego skarbu. Czynniki te poszukiwania również władze przedrewolucyjnej Rosji. Jednak na żaden wyraźny ślad nie natrafiono.

Do poszukiwań „Złotej Karety” włączyli się pracownicy Centralnego Archiwum Państwowego RFSRR Ludmilla Tinajewa i Włodzimierz Prokopienko. Tych dwoje młodych naukowców nie wyruszyło jednak w teren z aparatami do nurkowania czy wykrywaczami metalu. Doszli bowiem do wniosku, że w Moskwie należy szukać śladów. I chyba się nie mylili. Młodzi archiwiści sięgnęli do dokumentów nie istniejącej już rosyjskiej Najwyższej Komisji Zdobywczy Wojennych. Była to instytucja powołana przez carów, mająca zbierać informacje o zdobywcach wojennych przywiezionych do kraju przez rosyjskie wojska powracające z zagranicznych wypraw. Interesowały ją również wszelkiego rodzaju zdobycie dokumenty, archiwa, sztandary itp. Komisja zbierała też dane o przedmiotach pozostawionych w Rosji przez uciekającą armię Napoleona.

Gdzie jest „Złota Karetka”?

I tu niespodziewanie natrafiono na ciekawy dokument. Oto gubernator Mińska donosił w roku 1811, że u niejakiego Stanisława Czerepowieckiego w Nowogródku znajduje się 120 rękopisów Napoleona i jego marszałków, francuskie sztandary, broń, itp. Gubernator ponadto informował, że właściciel odmówił wypożyczenia dokumentów w celu zrobienia kopii twierdząc, że przed rokiem zostały one już skoplowane.

Ludmilla Tinajewa i Włodzimierz Prokopienko zamienili się teraz w prawdziwych detektywów. Intuicja mówiła im, że to jest właśnie trop, którym trzeba iść nadal. Rozpoczęli w całym Związku Radzieckim poszukiwania, owoych dokonanych przed kilkudziesięciu laty kopii. Ale nigdzie nie mogli natrafić na żaden ślad.

W trakcie poszukiwań w carskim archiwum policyjnym znaleziono przypadkowo raport dotyczący pewnego mieszkańca wsi Łoski koło Nowogródka. Był nim Aleksander Romanowicz, który, jak donosił miejscowy urzędnik policyjny, miał kolekcję starożytności, a między innymi szereg wyrobów sztuki sakralnej. Po porównaniu spisu obu kolekcji poszukiwaczom nasunęło się podejrzenie, że istnieje między nimi jakiś związek. Wyglądało na to, że jedna uzupełnia drugą.

Pojawiła się niktą nadzieja, że być może uda się odtworzyć losy kolekcji i losy potomków Romanowicza, a w ten sposób dowiedzieć się czegoś o zblonach Czerepowieckiego. Z Moskwy rozesłano dziesiątki listów do różnych muzeów, archiwów itp. I oto przyszła odpowiedź z Mińska!

Pracownicy tamtejszego muzeum donosili, że są na tropie losów kolekcji i ich właścicieli. Wyjaśnili oni, że nie było żadnej kolekcji Czerepowieckiego i Aleksandra Romanowicza. Był to bowiem jeden wielki zbiór Fiedora Romanowicza, który po śmierci właściciela został rozdzielony między spadkobierców. Aleksander Romanowicz był synem kolekcjonera, Czerepowiecki mężem córki zmarłego. Podzielony zbiór oprócz rękopisów zawierał: 7 starych złotych łańcuchów, 48 par złotych i srebrnych kolczyków, 36 złotych pierścieni należących do patriarchy Filareta – ojca pierwszego cara z dynastii Romanowyców, 24 złote bransoletki, złote monety, bogato zdobioną broń itp. Tak więc już po tym było widać, że jest to jakaś część kolekcji „Złotej Karety”. Pierścienie Filareta zostały zagrabione właśnie przez Francuzów i były w posiadaniu samego Napoleona!

W wyniku dalszych poszukiwań okazało się, że po śmierci Aleksandra Romanowicza jego skarb został ponownie podzielony między dzieci. A tuż przed I wojną światową nie wiadomo z jakich przyczyn, zdeponowano je u Michała Muchy, nauczyciela wiejskiego w Łoskach. I oto okazało się, że Mucha żyje! Powiedział on, że w jego domu umieszczono wówczas dwa marmurowe popiersia, dwie urny z hieroglifami, itp. Były też skarby ze „Złotej Karety”. Ale w 1915 roku, gdy front zbliżył się do ich wioski, Romanowiczowie ewakuowali się do Jelca. Mucha zakopał trzy skrzynie ze skarbami w jakiejś szopie. Ponieważ wkrótce też został wywieziony, nie mógł osobiście pilnować ukrytych kosztowności. Gdy wrócił już ich nie było.

Jednak ślad na tym się nie urwał. Wkrótce odnaleziono sprawcę zniknięcia skrzyń. Okazała się nią jedna z krewnych Romanowiczów żyjąca do dziś. Powiedziała ona, że owszem, wydobyla w roku 1920 skarb, ale przekazała go polskim władzom (Łoski znajdowały się wówczas w obrębie Polski), które z kolei przestały go do Warszawy! Ale równocześnie oświadczyła, że najbardziej cenne rzeczy zostały już przed wojną zdeponowane w „Azjatycko-Rosyjskim Banku” w Mińsku, po którym oczywiście nie zostało nawet śladu. Tak, jak po ukrytych w nim skarbach!

Tak więc poszukiwania dwójga młodych moskiewskich uczonych rzuciły nieco światła na losy „Złotej Karety”. Dzięki nim można pokusić się o odtworzenie wypadków.

A więc konwój napoleoński posuwał się na zachód coraz wolniej. Zmęczone konie, brak żywności i paszy dla zwierząt. Ponadto stała groźba napadów kozaków i partyzantów, którzy krażyli wokół szlaku odwrotu Wielkiej Armii. Napoleon sam miał okazję zobaczyć ich atak. Było to koło Malojarsławia, gdzie cesarz omal nie stał się jeńcem partyzanckiego oddziału. Być może, na niewielki oddział ochraniający „Złotą Karetę” dokonano ponownego napadu. Być może sprawcami byli miejscowi chłopcy, którym udało się zrabować część skarbu. W ten sposób pewne rzeczy dostały się w ręce Romanowicza, który prawdopodobnie jako szlachcic po prostu pozabierał chłopom łup lub odkupił za niską cenę.

Można też przyjąć, że napad ten dokonany daleko na zachód za Wiazmą i Smoleńskiem, zmusił cesarza do porzucenia lub ukrycia pozostałych wozów „Złotej Karety”. Dzięki temu rejon, w którym władze radzieckie winny prowadzić dalsze poszukiwania narodowych skarbów został w przybliżeniu określony. A w każdym bądź razie został zawężony. Ulatwiło to poszukiwania i dzień odkrycia „Złotej Karety” być może jest już bliski.

„NA PRZEŁAJ”

Nikaragua po trzęsieniu ziemi

W czasie, gdy tysiące ludzi zapełniały ulice zniszczonej Managui w poszukiwaniu wody i żywności, dyktator Anastasio Somoza-Deybale oddawał się przyjemnościom gry w golfa w swej luksusowej posiadłości w pobliżu Leon.

Rozgoryczenie ludności spowodowane nieudolnością akcji ratowniczej i panującym bałaganem — narasta. Żywność i lekarstwa nie docierają na czas do ofiar katastrofy. Poważne partie odzieży giną bez śladu. W wielu miastach doszło już do wystąpień przeciwko gen. Somoze.

W doniesieniach agencyjnych, napływających z dotkniętej trzęsieniem ziemi Nikaragui, powtarzają się opinie, że tragedia ta spowoduje — być może — upadek dyktatorskich rządów rodziny Somozów od blisko 40 lat władających tym krajem.

OD KOLUMBA PO UNITED FRUIT COMPANY

Mieszkańcy tego największego (145 tys. km kw.), ale najsłabiej zaludnionego kraju Ameryki Środkowej (1,9 mln mieszkańców), mają dość powodów, by nienawidzić Anastasio Somozę, trzeciego z kolei członka rodziny, sprawującego władzę w Nikaragui. Warto zapoznać się pokrótce z przeszłością samego kraju, jak i rodziny Somoza, o której co prawda nie było nigdy tak głośno jak o Truhillach, Peronie czy nawet Duvalierze, ale do której należy blisko 30 proc. powierzchni kraju i której majątek obliczany jest na blisko 400 mln dolarów.

Odkryta przez Kolumba w 1502 r. Nikaragua już w 20 lat później stała się kolonią Hiszpanii. Po uzyskaniu niepodległości w 1821 r. stała się członkiem Unii Środkowo-Amerykańskiej, a po jej upadku została proklamowana w 1839 r. republiką.

Od tego czasu kraj przeżywał kilkadziesiąt rewolucji i przewrotów, z których najkrwawszy był

ZACHWIPANY TRON SOMOZÓW

przewrót Carrery — pochłonął on kilkadziesiąt tysięcy ofiar. W roku 1914 wylądowały w Nikaragui oddziały amerykańskie. Zanim opuścili kraj Amerykanie, zmusili jego rząd do podpisania tzw. układu Bryan-Chamorro, na mocy którego w 1916 roku nabyli prawo przekopania kanału przez terytorium Nikaragui oraz założenia baz wojskowych na wybrzeżach obu oceanów.

Amerykańska piechota odchodziła i powracała, lecz na trwałe osiadła w kraju wielka amerykańska kampania United Fruit Company. Dziś nazywa się ją państwem w państwie. Jej oddziały znajdują się w każdym kraju Środkowej Ameryki, ale prawdziwą „ziemią obiecaną” jest dla niej Nikaragua. Miara jej potęgi jest fakt posiadania tam własnej kolei, dróg, floty morskiej, ba — nawet największego portu Nikaragui na Atlantyku — Bluefields.

PULKOWNIK SOMOZA, CZYLI START DYKTATURY

W 1934 r. amerykańska piechota morska znowu wylądowała na wybrzeżach Nikaragui. Jak oświadczone oficjalnie, „USA musiały chronić życie i mienie swych obywateli zagrożone przez panujące w kraju rozruchy”. Po dwóch latach Amerykanie odeszli, zostawiając jednakże swojego człowieka — płk. Somozę. Rozpoczął on służbę w amerykańskich oddziałach pilnujących plantacji United Fruit, a składających się z najgorszego autoramentu „ochotników”. Szybko awansował, a że cieszył się pełnym zaufaniem Amerykanów, po przejściu do armii Nikaragui miał zapewnioną karierę.

Od tego czasu Nikaragua stała się amerykańskim żandarmem dla państw Ameryki Środkowej. Somoza — prezydent, szef rządu i przywódca założonej przez siebie partii narodowo-liberalnej — chętnie interweniował na rzecz amerykańskich monopolii. Tak było w 1954 r. w Gwatemali, kiedy obalono postępowego prezydenta Arbenza, a potem w Kostaryce, gdzie usiłowało obalić Jose Figuerę za to, że osmielił się podwyższyć podatki płacone przez United Fruit.

Po „starym dyktatorze” objął władzę jego syn, płk Luis Somoza, który, by jeszcze bardziej umocnić swą władzę, ożenił się z córką wielkiego posiadacza ziemskiego Anną Pallais. Odtąd jedyną czynnością dyktatora było zmienianie konstytucji, co stało się także nałogiem jego syna, znanego już gen. Anastasio.

KRAJ, W KTÓRYM PRZEMYSŁ NIE ISTNIEJE

Objął on rządy w 1967 r. po wygaśnięciu kadencji dwóch marionetek w rękach swej rodziny — Gutierrez i Guerrero. Na ważniejsze stanowiska zaczął mianować jedynie swych bliskich, prześcigając w tym znacznie swego ojca i dziadka. Już teraz przewidział następcę na swoje stanowisko — kuzyna Nicolausa Pallaisa Debayle. Władza pozostać ma zatem w rodzinie.

Konsekwencją polityki Somozów jest beznadziejne położenie gospodarcze. Nikaragua jest najbardziej zadłużonym państwem Ameryki Środkowej. Brakuje szkół i szpitali, ponad 60 proc. mieszkańców to analfabeci, prawie 70 proc. ludności cierpi głód. Pomiedzy zachodnią i wschodnią częścią kraju nie ma praktycznie żadnych połączeń. Połowe eksportu stanowią banany, kawa, kakao i sisal. Przemysł nie istnieje. W okresie rządów rodziny Somoza zbudowano jedną linię kolejową, liczącą 430 km.

Utrzymujące się wysokie bezrobocie i zwiększające się koszty utrzymania wpływają na wzmożenie stanu napięcia wśród ludności. Na północy kraju mnożą się akty terroru i rodzi się ruch partyzancki.

Trzęsienie ziemi zachwiało poważnie „tronem” Somozów i być może niedługo jest już żywot jednej z ostatnich dyktatur zachodniej półkuli.

B. BROSZCZAK

Wyniki damskiej ankiety zaprzeczały legendom, w odróżnieniu od konkurencyjnej, w której wyziera konserwatywny, od lat, niezmienny, męski gust. Tylko

10 proc. pań okazało się cenić piękno męskiego ciała i ujmujący wygląd zewnętrzny nade wszystko inne. Reszta wręcz oświadczyła, że wybrany partner bynajmniej nie musi być kłębkim stalowych muskułów. Okazało się nawet, że dziewczęta wcale nie przepadały za panami a la mister uniwersum, zdecydowanie preferując normalnie zbudowanych chłopaków.

Ceniąc sobie przede wszystkim zalety charakteru i duszy, 57 proc. Szwedek stwierdziło, że szalowy wygląd wcale ich nie zapowłada. Za najbardziej pociągającą cechę męską uznano... wewnętrzne ciepło i czułość oraz użucie opiekuńcze. Tylko 5 proc. uważało, że najważniejszy jest temperament.

Okazało się ponadto, że ponad muskuly przedkładają Szwedki interesujący sposób bycia. Mężczyzna powinien być ich zdaniem pewny siebie, ale spokojny i wyważony, łagodny, ale interesujący. Jednym słowem, ujmujący sposób bycia, ale bez pozdy.

Szwedki życzą sobie, aby spotykany przez nie mężczyźni byli mądzy, inteligentni i nie pozbawieni osobistego uroku — w każdym razie w oczach swych partnerów.

Poza tym wszystkie jak jedna ankietowane, wypowiedziały się za panami dbającymi o swój wygląd zewnętrzny, a więc ubranymy modnie, ale swobodnie i nowocześnie, idealnie wygolonymi, ale... raczej z dłuższymi, jak nakazuje moda włosami. Jest to jedyny punkt, w którym zgodziły się obie szwedzkie płcie. Panowie też przedkładali długowłose.

Na pytanie najintymniejsze — także padła zgodna odpowiedź pań. Zdaniem Szwedek, jako seks-partner ideałem jest opisany powyżej statystyczny Romeo, między 30 a 40 rokiem życia.

B. NOWICKA

WYNIKI ANKIETY NA TEMAT MĘSKICH MARZEŃ WOKÓŁ IDEALU KOBIECOCI DAŁY PORTRET NIEZWYKLE SZCZEGÓŁOWY NIE TYLKO SUPER-SZWEDKI, ALE I STATYSTYCZNYCH GUSTÓW WSPÓŁCZESNEGO SZWEDA.

PANOWIE UDZIELILI BARDZO DOKŁADNYCH INFORMACJI, JAKIE WŁOSY, SPÓDNICZKĘ, BOTY ORAZ ZALETY FIGURY MUSI MIEĆ DZIEWCZYNA, BY ŚCIGAŁ NA SIEBIE ICH OKO.

KIEDY JUŻ SZWEDZI WYJAWILI SEKRETY SPÓD SERCA NA TEMAT WCIELENIA ICH TĘSKNOT DO STUPROCENTOWEJ KOBIECOCI, A TA OSTATNIA OKAZAŁA SIĘ BYĆ PEŁNĄ TEMPERAMENTU, DOSKONAŁE UŁOŻONĄ, DŁUGOWŁOSĄ BLONDYNKĄ, SMUKŁĄ, ALE TYLKO W OKOLICACH MINI-SPÓDNICZKI — DO ATAKU RUSZYŁA EKIPA SOCJOLOGÓW, REPRESZTUJĄCA INTERESY SZWEDZKICH PAŃ. PATRONOWAŁ IM ZNANY TYGODNIK SPOŁECZNO-OBYCZAJOWY „MY — RODZICE”.

FAKT, ŻE ODPOWIEDZIA NA MĘSKĄ ANKIETĘ BYŁA DAMSKA SONDA NA TEN SAM TEMAT, POTWIERDZA TYLKO SZWEDZKĄ SKRUPULATNOŚĆ W EGZEKWOWANIU PRZYWILEJÓW RÓWNOUPRAWNIENIA, TRAKTOWANEGO ZRESZTĄ BARDZO SERIO WE WSZYSTKICH PRZYPADKACH, WAŻNYCH I NIEWAŻNYCH.

SZWEDZKI ROMEO



To miasto żyło dawniej rytmem pustyni, a właściwie dwóch pustyni:

Kara-Kum i Kyzyl-Kum.

Przez piaski docierały

do Buchary karawany

wiozące złoto z Indo-

chin, jedwab chiński,

klejnoty z Indii i Cejlo-

nu, barwniki i żelazo

znad Morza Śródziem-

nego. Przez pustynię

przechodziły hordy na-

jeźdźców, dość regular-

nie co kilkadziesiąt lat

dokonując dzieła znisz-

czenia. Gorący wiatr pu-

stynny potrafił obrzy-

dzić życie najwytrwal-

szym, a nanoszony pia-

sek — drobny wpraw-

dzie jak mąka, lecz ab-

solutnie niejadalny — za-

sypywał domy, zasiewy,

ulice, wciskał się we

wszystkie zakamarki.

Szlachetne

Dzisiejsza Bucharę tętni zupełnie innym życiem. Wyznaczają je wielkie inwestycje, sznury samochodów ciężarowych i towarowych pociągów, startujące co kilka godzin samoloty. Pustynia oddala się coraz bardziej od miasta i całkowicie zmienia swój wygląd. Kyzyl-Kum („Czerwona Pustynia”) jest czerwona tylko wówczas, gdy ogląda się ją z samolotu. Z bliska przypomina niemalże uprawne pole, bo piasku prawie nie widać spod gęstego zasiewu saksauli i różnych gatunków ostów. „Czarna Pustynia”—Kara-Kum — ciągle jest jeszcze piaszczysta i brudno-szara, lecz wkrótce doprowadzona woda zamieni ją w gigantyczną plantację bawełny.

A jednak pustynie dają znać o sobie. Każde stąpnięcie wznosi z asfaltu lub chodnika delikatną mgiełkę drobniotkiego jak mąka piasku. Po kilkunastu minutach spaceru piasek chrzęści w zębach, po kilkadziesiąt minutach nieprzyjemnie świerzbą pod powiekami, po kilku godzinach przestaje się go zauważać. Jedynie buty i skarpetki w trakcie przechadzki powiększają swój ciężar.

Ponieważ do Buchary przyjechałem późnym popołudniem, rozpoczęłam zwiedzanie od wizyty w fabryce, syntezą z wyrobów ze złotogłowiu. Od wieków stawę bucharskiemu rzemiosłu przynosiły wyszywane złotą nicią atlasowe i jedwabne buty, chałaty, wielobarwne tiubetki, kapy i dywany. Fabryka im. 40-lecia Rewolucji Październikowej chlubnie kontynuuje te tradycje. Zmieniły się tylko: miejsce produkcji (wielkie hale produkcyjne zamiast mrocznych, maleńkich warsztatów) i załoga — dziś pracują tu w 99 proc. kobiety, podczas gdy przed 1920 rokiem szczyt złotą nicią było zarezerwowane wyłącznie dla mężczyzn. W długiej hali, na potężne, mosiężne ramy naciągnięte jest czerwone płótno, do tego płótna przyszywa się atlas w kolorach żółtym, amarantowym, fiołowym, niebieskim lub czarnym, a na atlasie zręcz-

ne dłonie robotnicze wyszywają najprzeróżniejsze, różnobarwne wzory. Złota nie zawiera 7 proc. tego metalu, jest zbyt łamliwa, aby można nią, było szyc. Toteż składa się ją misternie raz koło razu, a brzegi przyszywa inną nicią. Gdy wzór jest gotowy, robotnice rozcinają płótno i z atlasu we wzorem zszywają buty, gumcaany (tiubetki — rodzaj nakrycia głowy) lub chałaty. Mniej więcej połowa produkcji idzie na eksport, reszta — na rynek wewnętrzny. Wciąż żywa w Bucharze tradycja nakazuje mężczyźnie dopiero wówczas oświadczyć się o rękę dziewczyny, gdy stać już go na kupienie swej wybrance odpowiedniej wyprawy ślubnej, a więc: kolorowej sukni, atlasowego chałata, gumcaanu, wyszywanych pantofli, siuzane (rodzaj kapy do nakrywania mebli lub wieszania na ścianie), kolczyków i kilku sztuk biżuterii do wpłatania w warkocze.

Następnego dnia rano zaskakuje nas panujący na dworze chłód. Temperatura w nocy w dni bezchmurne spada tu do 10—12 stopni C, później podnosi się błyskawicznie i po południu osiąga już ok. 40—45 stopni C w cieniu. Człowiek pod wpływem słońca i gorąca poci się ciągle, lecz bynajmniej tego nie odczuwa, bo pot paruje błyskawicznie, pochłaniając przy tym sporo ciepła. Tak więc tutejsze 35—38 stopni C odczuwa się jak mniej więcej temperaturę 25—28 stopni C u nas, na którejś z polskich plaż. Oczywiście, to zwiększone pocenie się wymaga zwiększonej podaży płynów i przez kilka dni cierpięciem okropne pragnienie, dopóki nie odkryłem „odtrutki” na upały — zielonej herbaty. Gorąca i bez cukru można ją dostać w każdej czar-chanie, do słownie co kilkadziesiąt metrów wzdłuż ulicy. Z początku zielona herbata — kuk-czoj — nie jest zbyt smaczna. Po paru filiżankach pije się ją z przyjemnością, później z rozkoszą, po kilku dniach trudno się bez niej obejść. Dwie — trzy filiżanki wypite rano, zaspokajają pragnienie często na cały dzień.

„Matejką” do Australii (I)

POD TYM TYTUŁEM ZAMIESZCZAĆ BĘDZIEMY RELACJE HENRYKA ZAWIRY, KTÓRY NA POKŁADZIE „MATEJKI” ODBYWA PODRÓŻ NA KONTYNET AUSTRALIJSKI. A OTO PIERWSZA KORESPONDENCJA NASZEGO WYSLANNIKA

Po wielu tygodniach oczekiwań i przygotowań nareszcie miałem wsiąść na pokład jednego z 6 naszych dziesięciotysięczników pływających do Australii. Był zwykły jesienny dzień. Siąpił deszcz na przemian ze śniegiem.

Ukryty wśród innych statków, przy nabrzeżu kontenerowym „Matejko” stał gotowy do wyjścia. Tak mi się zdawało. Zresztą czarna tablica przy trapie wyraźnie mówiła, iż o godzinie 14 przewiduje się wyjście w morze. Nie wiedziałem jednak, że po wyjściu ze stoczni „Matejko” wymagał jeszcze wielu zabiegów, by stać się pełnosprawną i bezpieczną jednostką na morzu.

Dowódca, kpt. ż.w. Janusz Kulesza chodził zły, kłął niemilosłownie i pocieszał wszystkich, że jutro na pewno wszystko będzie O.K. Marynarze w pośpiechu porządkowali to, co pozostało po stoczni. Mechanik inż. Stanisław Bądrawski narzekał na uszkodzony silnik, przy którym ponoć od trzech dni pracowało 15 ludzi zatrudnionych w maszynowni, ochmistrz Roman Kozłowski przyjmował jeszcze pośpiesznie bunkier, czyli prowiant i oto następnego dnia po obiedzie wszystko było już gotowe.

Wychodzimy na Zatokę Gdańską. Mamy jeszcze po niej popływać ze dwie-trzy godziny, by wyregulować przyrządy nawigacyjne. Kiedy ok. godz. 22 wyrzaliśmy z pokładu, okazało się, że wciąż widzimy Gdynię. A zatem nie ruszyliśmy jeszcze w prawdziwą podróż...

Stałem w deszczu, smagany przez wiatr i czekałem. Wreszcie około północy „Matejko” zrobił zwrot i „całą naprzód” popłynął w kierunku Helu. Długo, bardzo długo było widać światła Gdyni. Minęliśmy już półwysep, a na niebie wciąż jeszcze działa jasna tarna rozżarzonego światłami portu...

Na pokładzie wciąż ruch. Ludzie pracują dnem i nocą, by statek doprowadzić do przyzwoitego stanu. Około godz. 14 z daleka widać łód. To Dania. Kopenhagę oglądamy w nocy. Wciąż nad statkiem latają samoloty. Co minucie na widoczne z morza lotnisko nadlatują potężne odrzutowce. W kanale ruch, jak na... Piotrkowskiej. My płyniemy do Rotterdamu skąd mamy zabrać spory ładunek drobnicy. Potem zawiniemy do Bremenu, aby następnie cofnąć się do Hamburga. Ale na razie wyglądamy Holandii.

Wieczorem wchodzimy do portu. Witają nas polskie statki „Zamość” i „Domejko”. Po kilku manewrach marynarze zarzucili cumy przy nabrzeżu. Otrzymujemy wizy i jeszcze tego samego dnia schodzimy na ląd. Włóczę się po ulicach. Patrzą na domy, na sklepy, na lu-

dzi... Gdzieś blisko portu spotykam małe, obskurne sklepiki. Na szyldach napisy w języku polskim i rosyjskim. Jakies „Poltexy”, „Mostexy”, „Goldtexy”. W „Poltexy” jakiś pijany sprzedawca wyrzuca zawartość połowy półki na ląd. Twierdzi, że tylko u niego można dostać najlepsze towary. Z okrętowym lekarzem i kilkoma pasażerami oglądamy owe najtańsze i najlepsze cuda. Na naszym bazarze i w sklepach z artykułami przecenionymi bywają lepsze. Nic nie kupiwszy idziemy więc dalej.

Na ulicach, mimo wczesnej pory, pusto. Paru hippisów i kilkunastu pijanych marynarzy greckich... Przez osłonięte do połowy okna widać całe mieszkania. Pełne kwiatów, jakichś drobniaków, lamp i kandelabrow. Ludzie przy telewizorach... Nie ma czego szukać. Wracam do portu, gdzie rozpoczął się załadunek.

Z samego rana biorę ze sobą jednego z pasażerów i ruszam do miasta. Johannes jest

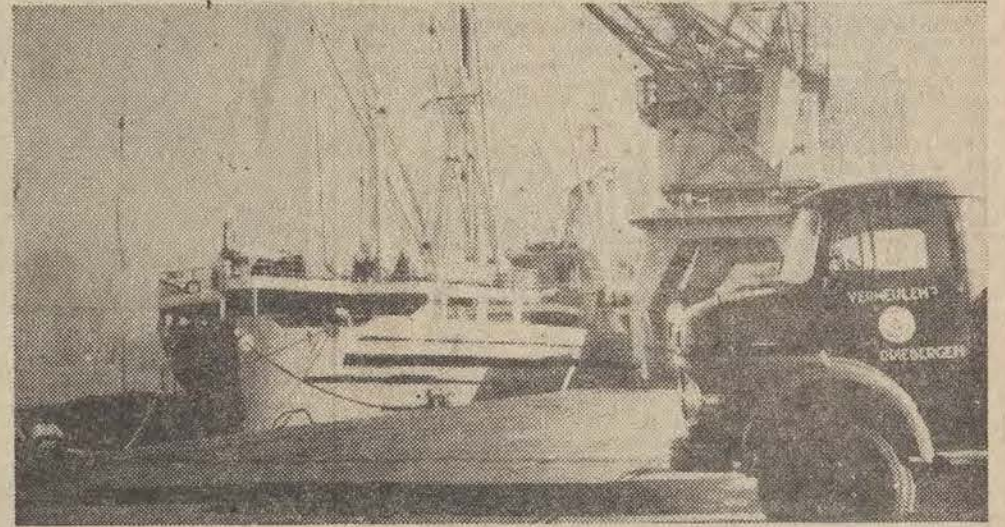
PIERWSZY STOP

rozmowny. Rotterdam zna doskonale. Wodzi mnie przeto po ulicach, tych nowoczesnych, i tych starych. Twierdzi, że ludzie żyją tu bez żadnych szerszych zainteresowań. Sami opływają w dostatek i trudno jest im zrozumieć, że gdzieś na świecie może być wojna lub głód.

Postanowiłem jednak sprawdzić tę tezę. W kawiarni, gdzie wstąpiłszy z moim cicerone, wdaję się w pogawędkę z jakimś młodym człowiekiem. Jest studentem chemii i spieszy się na zajęcia. Pytam o różne sprawy: O tok studiów, o organizację, o obowiązki studenta i wreszcie nie wytrzymuję: zadaję pytanie, które go zaskakuje — co myśli o rokowańach paryskich na temat Wietnamu? Student trochę się zmieszkał, ale wygłosił długą perorę, że oni, studenci są przeciwko wojnie. Ale tak naprawdę, to niewielu Holendrów wie nawet, gdzie leży ten walczący kraj, jacy tam żyją ludzie i o co ta wojna się toczy...

— No dobrze, powiadam, a co pan sądzi o rozmowach w Helsinkach?

— O, byłem w Helsinkach. To piękne mi-



Fragment portu rotterdamskiego.

sto. Tam zawsze zbierają się politycy. Zawsze o czymś dyskutują, więc nie wiem, o które rozmowy panu chodzi?

— O te, które toczą się aktualnie. W sprawie bezpieczeństwa europejskiego.

— A wie pan — odpowiedział mój rozmówca — nawet nie wiedziałem, iż to się już zaczęło...

— Czy pańscy rodzice mają jakiś bussines? — pytam dalej.

— Nie, proszę pana. Ojciec jest farmerem.

kie. Buty, jakie w Polsce kupuje się za 100, 180 zł, tu kosztują 15 do 28 dolarów. Nigdy też bym nie zapłacił 45 dolarów za koszulę, jaką mogę w „Wólciance” dostać za 300 złotych. Podziwiam więc stoiska z kwiatami, z których przecież słynie Holandia, a że jest co podziwiać, przeto tracę te 20 minut na oglądanie 73 gatunków w jednym tylko kiosku ulicznym.

Około południa miasto się nieco ożywia. W kolorowych ulęczkach handlowego centrum pojawia się tłumek ludzi, którzy wśród bajecznych kompozycji z lamp dokonują zakupów. Inni przyszli tu, by posiedzieć wśród zieleni, bo właśnie zieleni w owym nowoczesnym centrum Rotterdamu jest elementem dominującym.

W maleńkim bistrze spotykamy znajomego Johanna. Jest to starszy pan, emeryt. Wdaję się z nim w rozmowę. Twierdzi, że nigdy nie wyjeżdżał poza Holandię. A i po swojej odczytnie podróżował niewiele. Nie zna Polski, ale nigdy by tam nie pojechał, bo mówiono mu, że tam zimno. Z naszych wyrobów zna „Polską Wódkę”. Mówi, że very good. Dobrze i to...

Chcę zobaczyć dom holenderski, ale okazuje się, że z tym jest najtrudniej. Mój przewodnik najpierw trochę kręci, ale potem mówi mi wręcz: — Tego ci nie załatwie. To rzecz trudna. Do mojej rodziny nie pojedziemy, a ktoś inny przecież nas nie wpuścił.

Rezygnuję przeto z oglądania cudzych mieszkań i gapię się na miasto. Nowoczesne budynki ze szkła i stali, umiejętnie wkomponowane w stare budownictwo holenderskie, tworzą malowniczą mozaikę.

Ale oto i pora obiadu. By nie wydać 20 guldenów (ok. 7 dolarów amerykańskich), jadę na statek. Proszę taksówkarza, by mi opowiedział coś o mijanych dzielnicach. Wygadał chyba całą swą wiedzę. Wiem zatem, iż Rotterdam to przede wszystkim port, że miasto żyje z przeładunków i tak dalej. Nie pytam już z czego innego mogłoby to miasto żyć. Podziękowałem, zapłaciłem 3 dolary i z miną milionera wróciłem na pokład.

HENRYK ZAWIRA

miasto Buchara

Kto o tym nie wie, może mieć pewność, że będzie zatrzymywany się przed każdym automatem i saturatorem z wodą sodową.

Od kiedy znany jest zwyczaj pijania zielonej herbaty — nie wiadomo. Pytany o to „czaj-chanczik” odpowiedział, że zwyczaj ten jest tak sędziwy, jak Buchara. A miasto jest odwieczne. Z góra trzy tysiące lat temu znajdowało się tutaj osiedle, po którym do dziś pozostały ślady materialne. W 837 roku n.e. Abdul-Abbas wybudował mury miejskie, ponieważ napadający Turkmeni zagrażali stale bogatemu miastu. Następnie Buchara, stolica potężnego państwa bucharskiego, dostała się pod panowanie Arabów, w czasie którego doszła do olbrzymiego rozkwitu i bogactwa. Można sobie to wyobrazić, skoro według starych pism, miasto musiało płacić — samemu tylko kalifowi Bagdadu — rocznie 200 000 dirhemów haraczu (dirhem — moneta srebrna o wadze 4 g). W okresie psonowania Samanidów (IX wiek n.e.) miasta Buchara i Kermine płaciły ponad milion dirhemów podatku. Ale w tym czasie Buchara była już wielkim ośrodkiem kulturalnym i rzemieślni-

czym. Ubrania bucharskie — słynne złotogłowa — słynęły jako najpiękniejsze i najcenniejsze w całej Azji, a największą sławę i podziw budziły bucharskie dywany. Były one tak poszukiwane i drogie, że należna suma 200 000 dirhemów miasto zapłaciło kalifowi Bagdadu... jednym tylko dywanem.

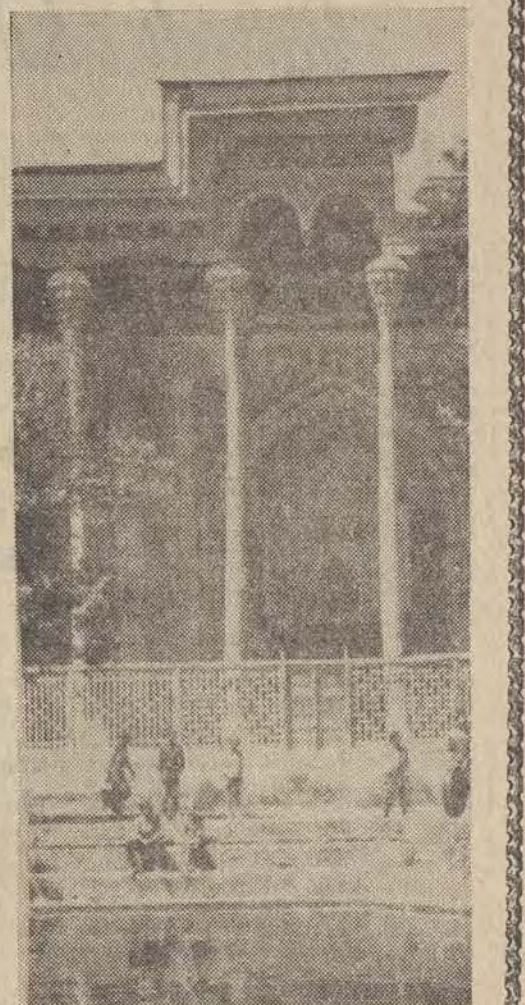
Pod panowaniem następców Arabów, Buchara podupadła i dopiero okrutny pogromca Azji, Tamerlan, doprowadził miasto do nowego rozkwitu, którego szczyt przypadł na okres panowania jednego z największych władców i uczonych, bratanka Tamerlana, astronoma Ulug-Bega. Po śmierci Ulug-Bega aż do 1920 roku całkowita władza w państwie przejęła de facto religia muzułmańska. Buchara stała się najbardziej fanatycznym ośrodkiem islamu. Jeszcze w roku 1919 po ulicach i bazarach chodzili reisowie (przełożeni duchowni), zatrzymywali przechodniów i pytały o dowolną surę (przykazanie) Koranu lub o prawa Szariatatu. Jeżeli egzaminowany w ten sposób wierny nie mógł dać zadowalającej odpowiedzi, reis skazywał kłepskiego znawcę Koranu na karę batów lub grzywnę.

Emir, władca Buchary, rządził despotycznie i okrutnie. Wielki miecz i ogromny batóg, wiszące na bramie zamku, nie przez przypadek były symbolami tej władzy. Zupelnie niewinnie lub za najbłaższe przewinienie można było popaść w niełaskę, a to równało się utracie głowy lub wtraceniu do okrutnych zamkowych kazamatów, skąd nigdy nie było powrotu. Armia radziecka i powstanie ludowe w 1920 roku położyły kres panowaniu emira. Oglądam ark, zamek, którego zdobycie zdecydowało o przyłączeniu Buchary do radzieckiego Uzbekistanu. W zamku przez siedem dni walk szalał pożar, dobrze zachowały się jedynie zewnętrzne mury i potężne lochy, w których trzymano więźniów przed śmiercią. Wnętrze, obecnie starannie restaurowane, mieści dziś muzeum kultury bucharskiej.

Władza radziecka, choć obalila rządy despotycznego emira i wprowadziła szereg reform, których mieszkańcy Buchary nie mogli sobie nawet wyobrazić (np. reforma rolna, odsłonięcie twarzy kobiet, wprowadzenie powszechnego nauczania, itp.), to także potrafiła dostrzec ukształtowane przez wieki uczucia wielu Bucharów. Mam na myśli uczucia religijne. Do dziś czynna jest jedna medresa (szkoła duchownych), przyjmująca co dwa lata 50 uczniów. Przy zastosowaniu najnowszych metod nauczania nauka w takiej szkole trwa 7 lat; kiedyś trwała 25-30 lat.

Oglądam potężne, towarowe pociągi jadące po szynach, olbrzymie ciężarówki na szosach wśród pustyni, na polach maszyny do zbierania bawełny. W pół godziny później podziwiam prace kilku artystów, którzy z nadludzka niemal cierpliwością układają brakujące płytki XIV-wiecznej mozaiki. I teraz w pełni może ocenić ogrom historycznych przemian. Bo postęp nie zawsze musi burzyć to, co stare. Wtedy będzie postępem, gdy w tym „starym” potrafi odnieść wielkość i piękno, odnaleźć i ochronić je przed zniszczeniem.

JACEK DANOWSKI



Buchara. Meczet Bobo-Chau, wybudowany w 1712 r. dla uczczenia odkrytego w pobliżu źródła.

Fot.: Jacek Danowski



Ulica Buchary.

Fot. Jacek Danowski

— Niechaj bogowie sprawią, aby zieleń młodości przepojona była zapachem wieczności — wdychają ludzie od niepamiętnych czasów. Ale bogowie milczą i zadręgnię strzegą im tylko znanego eliksiru. Tak więc niewiasty bez niczyjej pomocy zmuszone były zabiegać chociaż o przedłużenie młodości, urody, wdzięku, powabu, świeżości i tego wszystkiego, co sprawiło, że stały się prądródem poezji, malarstwa, rzeźby i miłosnych uniesień.

Pragnienie przedłużenia młodości koncentrowało się jednak zwykle na stronie wizualnej, zewnętrznej. Siegano najchętniej po kosmetyki, ozdoby i stroje. Skromne doświadczenie uczy, że i dziś nie jest inaczej. Tyle tylko, że przemysł chemiczny pełniej dostosował się do wymagań piękniejszej połowy rodu ludzkiego.

Rej ubolewał blizną: Chwałebnaż to, iż się niewiasty malują, iż sobie dla wielkiego ezola włosy, a dla ozdobienia oka brwi targają i co innego czynią z wielką boleścią? Sprośna to rzecz, kiedy dobra pani czegoś tak wiele na twarz nakładzie, iż się zda jakoby była w maskarce, ani się śmie rozśmiać, aby się jej na twarzy farba nie złupała...

Choć nie każde oko męskie było tak bystre jak u ojca literatury polskiej, to jednak porządek na ten temat nie zabrakło:

„Zaraz będzie między świetnych wzięty,
Kto wypatrzy niewieście wykrety”

Lub:

„Dawna to jest przypowieść a nader prawdziwa,
W koniu włosna, a w pannie ślub wady odkrywa”.

W miejsce dawnej noszonej sukien lnianych i wnetlnych pojawiają się już za czasów Bolesława Chrobrego szaty wykonane z delikatnych tkanin, a drogocenne futra podzywano tkanina lita przetykana złotą nicią, czyli złotogłowie. Damy uginaty się pod ciężarem kosztownych klejnotów, koron, łańcuchów, naramienników, perel. Jednak przestrzegano przed taką posadną niewiastą: „Poimiesz bogactwa, żadnego nie będziesz miał postanowienia od niej, wszystko będzie rozumiała, że ty z jej nogi, a nie ona z twojego żebra jest stworzona”.

W XVI wieku wprowadziła królowa Bona modę włoską. Zapoczątkowała wspólnie biesiady, tosy, wycieczki, śpiewy oraz „pokusę diabelską”, czyli... taniec.

„Niechby białoszyci nasze postroily się w dawne zaplania”
Zuczenie to spełniło się dopiero za Stanisława Augusta, kiedy realizowano hasło powrotu do natury. Białogłowy odrzucały wówczas niewygodne i ciężkie stroje, odrzucały kaftany krepujące talie.

Przedłużenie młodości, przestrzeganie mody, klejnoty, stroje, kosmetyki nie wypełniały jeszcze kobiety. Chciały także spełniać swój obowiązek wobec natury, wobec męża, wobec konieczności przedłużenia dynastii. Bezdzietność uchodziła za hańbę. Brak potomstwa męskiego groził niekiedy nieszcześliwej meżatce więzieniem, a nawet śmiercią.

O kształcenie córek zwykle nie troszczono się wychodząc z głębokiego przekonania, że:

„Która śpiewa, czyta, gęźle,
To rzadko cnotliwa będzie”.

Do wyjątków należy dokument o dziewczynie z XV wieku zwanej Nawojką (do dnia dzisiejszego jeden z domów studenckich Uniwersytetu Jagiellońskiego nosi jej imię), która uczęszczała w przebraniu męskim przez dwa lata na Uniwersytet Krakowski. Po zdemaskowaniu zamknięto ją na widzy pannę za murami klasztoru.

Kobiety występują w dokumentach jako fundatorki. Tak np. wiemy, że królowa Jadwiga była wskrzesicielką Krakowskiej Wszechnicy, jednak nie została wymieniona w akcie odnowienia uniwersytetu, dlatego też nie nosi jej imienia. Była tylko kobietą...

Córki wydawano wcześniej za mąż, aby pozbyć się „kłopotu”, w najlepszym razie osiagnąć cele dynastyczne i materialne. Losy młodzieńców poślubionych, do macierzyństwa nie przygotowanych dziewcząt, charakteryzuje epitaforium A. Morsztyna na śmierć 12-letniej poleźnicy:

„Baba tu leży zyciem, chocia młoda laty”.

— Niechaj bogowie sprawią, aby zieleń młodości przepojona była zapachem wieczności! — Tępo żąda ksiądz Karnawał.

KONRAD RUCKI



Fotoreportaż „Ponoramy”



LUDZIE i MANEKINY

„Trzymam więc szepczą dłoń kobiety. Jest przyjemna w dotyku, niezwykle delikatna i miękka.

Wokół mnie wiele takich dłoń, a poza tym nóg, korpusek i głów. Wrażenie uporne. Mimo woli mocniej ścisnąm tę dłoń, która swą miękkość i elastyczność zawdzięcza... polichlorowi winyli.

W mrocznej, olbrzymiej hali z napisem na drzwiach: „magazyn wyrobów gotowych” — czuję się niczym na plaży nudystów. Tłum nagusów — zgrabnych, o pięknych twarzach. Szokują tylko ich oczy, duże, szeroko otwarte. Wpatrzone w przybysza ni to kokieteryjnie, ni to wyzywająco.

MANEKINY. Poustawiane w kilku rzędach pod ścianą — oddzielnie kobiety i mężczyźni, przed nimi dzieci. Cały oddział manekinów — ponad 300 sztuk. Człowiek czuje się zażenowany tym zalewem „nagości”. Dopiero po pewnym czasie przyzwyczajają się i zaczyna przemierzać halę fabryczną, dokonując przeglądu manekinów. A jest co podziwiać! Wykonane z żywicy karbamidowej, zbrojone tkaniną szklaną, dzięki lekko matowej fakturze ludzaco przypominają ludzkie sylwetki. W charakterystorni twarze ich otrzymały staranny makijaż. W perukarni przystrojono ich włosy, jak kolano głowy, włosami z tworzywa syntetycznego. Peruki nakładają się w zależności od modeli — inne damskim, inne dziewczęcym, dziecięcym czy też młodzieżowym. Fryzjer p. Wojciech Kubiatowski wykona jeszcze tylko modne uczesanie i wtedy gotowe manekiny wędrują do hali wyrobów gotowych. Tu z reguły nie zagrzewają długo miejsca. Codziennie bowiem z różnych krańców Polski przyjeżdżają odbiorcy z wielkich domów towarowych, domów mody, sklepów odzieżowych, szkół pielęgnarskich, a nawet wytwórni filmowych. Około 300 manekinów dziennie w 30 różnych odmianach opuszcza łódzki zakład przy ul. Targowej 9a.

Z-ca dyrektora Przedsiębiorstwa Remontowo-Montażowego HW — inż. Kazimierz Stepniewski — który towarzyszy mi przy zwiedzaniu Zakładu Produkcji Manekinów, wyjaśnia skomplikowane tajniki ich produkcji. Niestety, jest ona jeszcze zbyt mało zmechanizowana i stąd kłopoty ze zwiększeniem dostaw. Ok. 5 tys. manekinów rocznie produkowanych przez jedną w kraju wytwórnię nie może zaspokoić potrzeb naszego handlu.

J. KRASKOWSKI
Foto: A. Wach

Teraz tylko efektywna fryzurka i męski manekin może ruszyć w... Polskę.



Gawędy o książkach

Na dobrą sprawę wszyscy znaciejsi pisarze naszego wieku mogliby powiedzieć o twórczości Jamesa Joyce'a — my wszyscy z niej.

Sens jego dzieł odkrywany jest wciąż na nowo, wiele kart jego ksiązek okrywa w dalszym ciągu tajemnica a spór krytyków trwa od lat kilkudziesięciu. Jedni twierdzą, że autor „Ulissesa” był literackim szarlatanem, nihilistą i pornografem w najgorszym wydaniu, inni uważają go za najwybitniejszego twórcę naszego stulecia, geniusza i prekursora.

Wiele na temat Joyce'a pisano u nas z okazji wydania „Ulissesa”. Pamiętam dobrze jak zawrotne ceny osiągała ta książka na „czarnym rynku”. Potem emocje opadły, a dziś „Ulisses” ozdabia półki wielu snobów, którzy nie przebrnęli przez zawily opis osiemnastu godzin jednego dnia czerwowego 1904 roku w Dublinie.

Myślę, że wydane teraz pięknie przez Wydawnictwo Literackie „Utwory poetyckie” Jamesa Joyce'a, przycięte zostaną spokojnie. Tom prezentowany przez W. L. zawdzięczamy Maciejowi Słomczyńskiemu niestrudzonemu tłumaczowi wielu utworów Joyce'a i jednemu z niewielu w świecie tak kompetentnych komentatorów jego twórczości. „Utwory poetyckie” wydane tak, jak powinno się w zasadzie zawsze wydawać tłumaczenia poezji. Obok tekstu polskiego znajduje się tekst angielski. Ten zabieg edytorski jest szczególnie cenny w przypadku skomplikowanego piarstwa genialnego Irlandczyka. Ponieważ Joyce, egocentryk i samotnik, nie lubił bardzo, gdy zajmowano się publicznie jego życiem, przeto szanując jego stanowisko le-

piej słów kilka poświęcić dziełu.

„Utwory poetyckie” otwiera 36 krótkich lirycznych wierszy o miłości, wydanych w 1907 r. w tomie „Muzyka kameralna”. Krytycy podkreślają, że slychać w nich echa poezji elżbietańskiej, romantyzmu angielskiego i francuskiego symbolizmu. Wszyscy ci, którzy czytali „Ulissesa” z pewnością zdziwią się, że te melodyjne, pełne czytelnych symboli, tradycyjne wiersze, wyszły spod tego samego pióra.

Geniusz XX wieku

Ciekawa jest anegdota, którą przytacza E. Naganowski w związku z tytułem tego tomu. Otóż brat Joyce'a, Stanisław utrzymywał, że to on wymyślił tytuł do zbioru wierszy brata, ale biograf wielkiego pisarza Herbert Gorman podaje inne światło.

Pewnego dnia wiosną 1904 r. pisarz odwiedził bliskiego znajomego w pokoju jego kochanki, „gorąco-krwistej wdowy” i recytował tam zastuchanej parze swoje wiersze. W trakcie czytania rzeczona wdowa wypila tyle butelek piwa, że nagle musiała w pilnej potrzebie udać się do sypialnej części pokoju... Kiedy poeta podjął znów lekturę, za parawanu rozległ się pluszczący - dzwoniący szmer. „Na Boga, coż z niej za krytyki! Słyszysz, jak ona ocenia

twoje wiersze? — zawołał rozbawiony znajomy. A na to Joyce: „Krytyk, nie krytyk, ale naprowadziła mnie na tytuł mojej książki. Nazwę ją „Muzyka kameralna” (Chodziło tu o grę słów. Po angielsku muzyka kameralna to „chamber music”, a „chamber pot pusie” to — muzyka nocnika!).

Jakkolwiek było, pomijając to nader prozaiczne wyjaśnienie genezy tytułu, „Muzyka kameralna” uznać trzeba za tom o pierwszorzędnym znaczeniu dla poznania twórczości Joyce'a i jego osobowości. Tutaj pojawiły się po raz pierwszy pewne motywy i wątki, które odnajdziemy potem w „Ulissesie” i w innych dziełach Joyce'a.

Obok tych wierszy M. Słomczyński pomieścił „Epifanie”, młodzieńcze

ple Słomczyński, „szczerze mówiąc, pośród legionu książek napisanych na jego temat nie ma ani jednej, która próbowałaby powiedzieć, czego ta książka dotyczy”.

Autor „Finnegan's wake” chciał zarzwać w tym dziele — napisanym różnymi językami i dialektami, pełnym neologizmów, oderwanych dźwięków, cząsteczek słów — całe dzieło człowieka. Jego poetykę oparł na logice sennego marzenia. Trawstując znany slogan chciałoby się napisać: tego się nie da opisać, to trzeba przeczytać! Przeczytać fragmenty w tłumaczeniu Słomczyńskiego i potraktować jako zadziwiająca szaradę językową.

Z recenzentkich „remanentów” chciałbym jeszcze zaproponować czytelnikom zbiór felietonów niezrów-

„poemacki-notatki” prozą, bardzo impresyjne szkice i migawki z codziennych wydarzeń, rozmów, snów, w których to szkicach — jak pisze krytyk — objawia się wewnętrzna istota rzeczy, pilnie skrywane „ja” człowieka. Zaczął je pisać Joyce bardzo wcześnie, by potem tę metodę twórczą, udoskonaloną i pogłębioną zastosować w kolejnych dziełach.

W „Utworach poetyckich” znajdują się również wiersze z cyklu „Jabłuszka po pensie”, utwory satyryczne, fragmenty „Ulissesa” i fragmenty najbardziej zagadkowego i kontrowersyjnego dzieła znakomitego pisarza — „Finnegan's wake”.

Tej ostatniej książce poświęcił Joyce 16 lat życia i jest ona utworem tak trudnym, że, jak pisze we wstę-

nanego Jerzego Urbana pt. „Kolekcja Jerzego Kibica”. Kolekcja ta zawiera wybór z 600 drukowanych w „Kulisach”, „opowiadek o sprawach niezwykłych lub zabawnych, mających zawsze związek z sądem lub milicją”.

Autor reportażu zamieszczonych w tomie „Miłość szuka azylu” — Józef Grabowicz, wyznaczył sobie cel tyleż ambitny co trudny: ukazanie kontrastów wsi polskiej. Niestety, nie zawsze się autorowi udało wyjść poza prawdy powszechnie znane. Reportaż te grzeszą zbytnią deklaracyjnością, nie zawsze udanymi pointami, sztucznymi dialogami.

ANDRZEJ HAMPEL

Spadek po... żyjącej żonie

Francescontonio Moscardelli z Aquili (Włochy) od pięciu lat corocznie otrzymuje wezwanie do zapłacenia podatku spadkowego za majątek pozostawiony mu po śmierci przez żonę, która jednak żyje i cieszy się znakomitym zdrowiem. Za każdym razem udaje się do urzędu podatkowego z żywym dowodem rzeczowym w postaci towarzyszącej życia. Tam urzędnicy przepraszają go i przyrzekają poprawę. Mimo to otrzymał identyczne wezwanie w tym roku — po raz piąty.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

POZIOMO: 1. Do kopania pod kims, 4. Wrzątek, 7. Czołowy dział polskiego ruchu robotniczego (1864-1941), 8. Igiełne, 9. Październikowa solenizantka, 10. Organizacja techników, 11. Dwukółowa taczka, 14. Paryski ladaco, 17. Drugi potraw siana, 20. Znany z krzyżówek twór Chateaubrianda, 23. Obfitości, 24. Peron dla maszyn, 25. Cudowna tarcza Zeusa, sporządzona ze skóry kory Amaltei, 26. Prawy dopływ Renu w Niemczech, 27. Pierwsze mleko, 28. Sen hipnotyczny.

PIONOWO: 1. Sport z chwytami, 2. Kręci się w oczku, 3. Obraz prawosławny, 4. Włoska „Trybuna Ludu”, 5. Np. Wieprz, 6. Ronienie lez, 12. Szyby nim uszczelnisz, 13. Wykop ziemny, 15. Satełta Patachona, 16. Ziemi czarnej na filmie, 17. Białe na stole, 18. Całe wojsko, 19. Chruściel amerykański, 20. Pracownik wywiadu lub handlu, 21. Siostra Balladyny, 22. Szczebel wyżej w pracy.

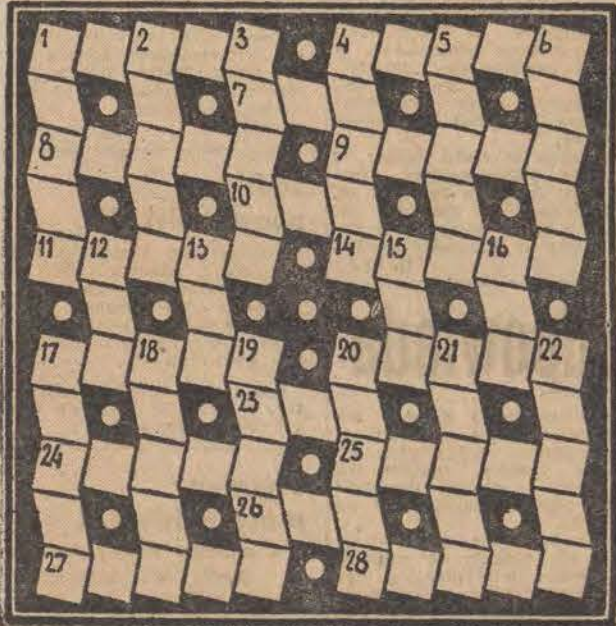
Rozwiązania nadsyłać prosimy pod adresem naszej redakcji w terminie 7-dniowym z dopiskiem na kopertach (kartach) „krzyżówka z dn. 28.I.”.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z DNIA 3 GRUDNIA 1972 R.

POZIOMO: kaloryfer, opera, dubbing, Pleczka, dramat, zakaz, ryk, krowa, Anzelm, maltoza, szarada, żarna, Atlantyda. **PIONOWO:** gospoda, repeta, kaszta, lada, ryba, Filip, rogal, szkapa, skrzat, młot, trop, ambaras, hossa, Paul, Kain, mary, loża, Obra.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z DNIA 10 GRUDNIA

POZIOMO: opowiadanie, korespondent, iglica, resursa, okolica, Muslim, stabilizator, abrakadabra. **PIONOWO:** perkusista, wisiór, amoniak, Abd, Estremadura, ekstremista, eliminator, Somalia, okaza, boa.



PIJĄCE BURSZTYN ZE STABILISERES

Znakomity młód pitny z litewskiego miasteczka Stakliaszki nosi nazwę bursztynu. Sporządza się go na podstawie średniowiecznej receptury, według której konsument bursztynowego trunku na pewno dożyje do stu lat.

WIELBIĄD JEDNOŚLADOWY

Do lamusa historii przejdą w przyszłości karawany wielbiądów na Saharze. Już dzisiaj przemierzają tę pustynię wszęd i wzdłuż pojazdy mechaniczne, nie tylko czterokołowe. Ostatnio trasę saharijską o długości 4 tysięcy kilometrów pokonał na skuterze student francuski Dominique Taucau. Zajęło mu to jednak prawie trzy miesiące.

ZEGARYNKA W KIESZONI

Jedną z firm japońskich wypuściła na rynek „mówiące zegarki”, które za nacisnięciem specjalnego guziczka przyjemnym głosem podają właścicielowi dokładny czas. Ta osobista zegarynka może służyć jednocześnie jako mówiący budzik.

NIE WIDZEA, CO DAJĄ

Podsumowując obliczoną na wzrost czytelnictwa akcję obdarowywania młodych par przy ceremonii ślubu pięknie oprawioną książką urzędnicy francuskiego ministerstwa kultury odkryli, że większość tych dzieł mówiła o małżeństwach nieudanych i tragicznych.

KONDOR W PRZEDWIDNI ZAGŁADY

Kondorowi, największemu ptakowi kontynentu amerykańskiego, grozi zagłada. Wynika to z dawnego przesądu głoszącego, że kondory porywają dzieci. Dlatego właśnie wyjęli go z gatunku. Jedyne w Kalifornii jest on pod ochroną, ale żyje tam zaledwie około pięćdziesiąt okazów tego drapieżnika.

AUTOGRAF - KRZYŻYKI

Niektóre gwiazdy piłki nożnej w Brazylii mają wielkie kłopoty z wpisywaniem autografów do karnetów kibiców. Złośliwi dziennikarze twierdzą, że nawet najzdolniejszych mistrzów sztuki kopania piłki należałoby najpierw nauczyć sztuki pisania, ponieważ krzyżyki w podpisie asów piłkarskich nie przysparzają im zaszczytów.

HOROSKOP

UPRZEJMIEM PROSIMY NASZYCH CZYTELNIKÓW O TRAKTOWANIE HOROSKOPU JAKO PRZYJEMNEJ, NIEDZIELNEJ ROZRYWKI, NIEKIEDY BYWA JEDNAK I TAK, ŻE HOROSKOP PRAWDE POWIEM...



BARAN (21. III - 18. IV): Powodzenie w miłości, jakaś miła informacja i w ogóle wszystko układać się będzie pomyślnie.

BYK (19. IV - 20. V): Relaks, wyjazd i sporo interesujących spotkań lub rozmów. Z jednej z nich koniecznie musisz wyciągnąć wnioski.



BLIŹNIĘTA (21. V - 20. VI): Na najbliższe dni skrzyż się nie będziesz miał powodu. Bądź jednak ostrożniejszy i mniej łatwowerly. O pewnej sprawie musisz zapomnieć.

RAK (21. VI - 22. VII): Tydzień udany i obfitujący w ciekawe przeżycia. Nadal jednak sporo pracy i drobnych nieporozumień.



LEW (23. VII - 22. VIII): Idą dni bardzo gorące i tylko rozwaga oraz dobiegłość wiele spraw pomogą ci wyjaśnić. Uważaj na zdrowie i swoje postępowanie wobec najbliższych współpracowników.

PANNA (23. VIII - 22. IX): Nie wyjeżdżaj w piątek. Na weekend najlepsza sobota. Czas nabrać odwagi i przestać unikać stanowczych decyzji.



WAGA (23. IX - 22. X): Przewidujemy wiele się zmieni w dotychczasowym twoim życiu. Nie licz na pomoc pewnego bruneta. Nie lekceważ także informacji, które nadejdą pod koniec tygodnia.

SKORPION (23. X - 22. XI): Trochę komplikacji życiowych. Poprawa nastroju w połowie tygodnia. Warto się nieco pohazarzować.



STRZELEC (23. XI - 21. XII): W połowie tygodnia wydarzy się coś ważnego. Jeżeli chcesz zatawić coś ważnego to zrób to we wtorek lub piątek.

KOZIOROŻEC (22. XII - 20. I): Okres gorący i obfitujący w wiele wydarzeń. Raczej ciekawych.



WODNIK (21. I - 18. II): Nie wdawaj się w spory i kłótnie. Dużo ruchu i powietrza - oto czego ci najbardziej potrzeba. Nie przegap poniedziałkowej informacji bądź spotkania.

RYBY (19. II - 20. III): Okres pod znakiem miłych wydarzeń. Bądź jednak ostrożniejszy, a jednocześnie skuteczniejszy w pracy zawodowej. Poświęć więcej czasu najbliższemu lub współpracownikom.

Wiadomości sprzed pół wieku

OGRANICZENIE SZYBKOSCI W AUSTRII

Ministerjum wiedeńskie wydało świeżo przepisy, dotyczące szybkości jazdy w granicach Austrii. Według tych przepisów w „zamkniętych” miejscowościach, jako to miastach, miasteczkach, wsiach itp. nie wolno jeździć szybciej niż 15 km na godzinę. Na wolnych drogach maximum szybkości oznaczono na 45 km na godzinę. W żadnym razie nie wolno jechać szybciej aniżeli 6 km na godzinę wówczas, gdy panuje mgła. „Sport” nr 14 z 1913 r.

SPRAWNOŚĆ KIEROWCÓW WARSZAWSKICH

Zapewne, że ani w Warszawie samej, ani też na szosach i drogach prowincjonalnych ruch samochodowy ani w części nie jest tak znaczny, jak w państwach zachodnich, ale biorąc wszystko proporcjonalnie, jeszcze przyznać będziemy musieli, że nasi kierowcy bynajmniej nie są najgorliwi.

Przed wszystkim na szczególniejsze podniesienie zasługuje nadzwyczaj trafnie obrany sposób egzaminowania kandydatów do zawodu kierowcy. Inżynier Szczeniowski zerwał z nieporadczym do celu systemem nabijania w głowy kandydatów najrozmaitszych formulek teoretycznych, a natomiast kładzie się przy egzaminach nacisk na wiadomości praktyczne. Ta maksyma się rządząca, Komisja jako podstawę wiedzy dla kierowcy uważa ślusarstwo, doświadczenie bowiem wykazało, że ludzie obeznani z tym rzemiosłem łatwiej daleko od innych przyswajają sobie to wszystko, co dla dobrego kierowcy jest konieczne. „Lotnik i Automobilista” nr 6 z 1913 r.

PRZEPISY DLA SAMOCHODÓW W WARSZAWIE

Magistrat m. Warszawy stosownie do opinii general-gubernatora wydał postanowienie obowiązujące, mocą którego samochodom nie wolno jest odjazd jeździć po mieście szybciej, niż 12 wiorst na godzinę.

* Wiorsta = ok. 1067 metrów

Samochód z... myszką



Packard „Old Pacific” z 1903 roku

ZAKOŁKIEM

czyli niedzielnia mieszanka motoryzacyjna

MODA NA OPONY PROMIENIOWE

Opony promieniowe stanowią już większość produkowanych przez największe wytwórnie ogumienia. Francuska firma Michelin niemal całkowicie zrezygnowała z produkcji opon diagonalnych. W Wielkiej Brytanii stanowią one ponad 50 proc. całej produkcji przemysłu oponiarskiego, a we Włoszech wszystkie nowe samochody otrzymują wyłącznie opony radialne. Także w Polsce moda ta zaczęła się upowszechniać - z początkiem bieżącego roku fabryka „Stomil” w Dębicy rozpoczęła seryjną produkcję opon promieniowych do polskich Fiatów 125. Ten typ opon przewyższa zdecydowanie ogumienie tradycyjnie stosowane dotychczas. Wprawdzie są one o ok. 25 proc. droższe od diagonalnych, ale znacznie większa trwałość i lepszy komfort jazdy z powodzeniem wyrównują różnicę w cenie. Najbardziej zalety opon promieniowych uwidaczniają się przy jeździe na nawierzchni śliskiej, przyczepność jest bowiem znacznie lepsza, przez co rośnie bezpieczeństwo jazdy.

NAPĘD PAROWY W AUTOBUSIE

Ostre ograniczenia zawartości szkodliwych związków w spalinach, które wędą w życie w USA, już wkrótce zdogingują konstruktorów do opracowania napędu całkowicie pozbawionego kłopotliwych skutków ubocznych. Jednym z takich napędów jest silnik parowy. Znana firma od lat parająca się projektami parowych jednostek napędowych do samochodów osobowych różnych typów - Lear Motors Corporation zbudowała autobus parowy. Wprawdzie w porównaniu z silnikiem wysokoprężnym napęd parowy zmniejsza dynamikę autobusu, ale jazda nim jest bardzo komfortowa (brak wibracji i drgań), a co najważniejsze - silnik nie wytwarza duszącego dymu. Rozwija szyb-

kość do 90 km na godzinę. Paliwem siośowa-nym do silnika parowego jest narta.

SPORTOWA SKODA

Wielką popularnością cieszy się w Czechosłowacji odmiana sportowa znanej w Polsce i cenionej Skody S 100. Model ten nazwano Skoda 110R Coupe. Samochód posiada 2-drzwiowe nadwozie o ładnej, sportowej linii. Silnik 4-cylindrowy o pojemności 1107 ccm, ma moc 62 KM. Szybkość maksymalna samochodu nie jest rewelacyjna - 145 km/godz., ale przyspieszenia są niezłe, szczególnie na dwóch pierwszych biegach. Tak jak i w zwykłych Skodach S 100 samochód zaopatrzony w hamulce tarczowe na przednie koła i bębnowe na tylnie.

SYGNALIZACJA ŚWIETLNA DLA DALTONISTÓW

Od miesięcy pracuje w jednym z miast kanadyjskich uliczna sygnalizacja świetlna nowego systemu, opracowanego z myślą o kierowcach - daltonistach mylących kolor czerwony z zielonym. System jest bardzo prosty. Lampa czerwona ma inny kształt niż zielona. Jak się okazało, z nowego wynalazku skorzystali nie tylko daltoniści. Po zainstalowaniu nowych świateł, spadła bowiem liczba wypadków w miejscu, gdzie zostały założone.

Laternia sygnalizacyjna składa się z dwóch części. Część górna - to dwa kwadraty - czerwony i żółty, dolna - dwa ośmiokąty - zielony i żółty. Z żółtych lamp korzystają daltoniści kierujący się jedynie ich kształtem, zaś czerwona i zielona lampą - ludzie o normalnym wzroku.